Nr. 3. Jasło, dnia 15 marca 1937 r. Rok I.

Razem Młodzi

Numer pojedynczy 20 gr. — — Opłata do końca roku szkolnego 50 gr.

Marszałkowi Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi

Odszedł od nas ten, który wskrzesił nasz byt państwowy, który był inicjatorem gigantycznego dzieła budowy Polski mocarstwowej.

Zdawało się nam, Polakom, w owe ciężkie dni żałoby, że tracimy grunt pod nogami, że przepaść się jakaś przed nami otwiera groźna a nieunikniona. Pesymistyczne myśli zasępiły czoła skute bólem. Społeczeństwo polskie bliskie było zwątpienia, czy znajdzie się ktoś godny, aby kontynuować wielki program Marszałka.

Lecz wnet przypomniano sobie, że wśród uczniów Jego idei został jeden szczególnie mu drogi, bo złączony z Nim silnymi więzami braterstwa broni i owego przeogromnego umiłowania Ojczyzny — generał EDWARD ŚMIGŁY-RYDZ.

I wówczas oczy całego Narodu zwróciły się na towarzysza walk legionowych, Józefa Piłsudskiego, jako na spadkobiercę i wykonawcę Jego testamentu ideowego.

Marszałek Edward Śmigły-Rydz urodził się w Brzeżanach wojew. stanisławowskiego w 1886 roku. Tam też uczęszczał do gimnazjum. Poświęcając się następnie studiom malarskim ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, a potem wydział filologiczny na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Już na kilka lat przed wybuchem wojny oddaje się pracy wojskowo-niepodległościowej w Związku Strzeleckim. Wojna światowa zastaje Go na stanowisku komendanta okręgu lwowskiego Strzelca. W sierpniu 1914 roku major Edward Śmigły-Rydz wyrusza na czele batalionu I Brygady Józefa Piłsudskiego. Odgrywa wybitną rolę jako dowódca 1 pułku piechoty, staje się jednym z najbliższych żołnierzy Komendanta.

W roku 1917 po wywiezieniu Komendanta do Magdeburga i rozbrojeniu Legionów wskutek kryzysu przysięgowego, płk. Śmigły-Rydz staje na czele Polskiej Organizacji Wojskowej i jako jej komendant przygotowuje kraj do złamania okupacji i wyzwolenia Ojczyzny. W listopadzie 1918 r. w wolnej i niepodległej już Polsce, Wódz Naczelny powierza generałowi brygady Śmigłemu-Rydzowi najważniejsze i najodpowiedzialniejsze

zadania. W trwającej jeszcze ciągle kampanii legionowej gen. Śmigły-Rydz jest jedną z najczynniejszych postaci, odnosi szereg brawurowych zwycięstw.

Po zawarciu pokoju ryskiego Marszałek Piłsudski wyznacza gen. Śmigłemu-Rydzowi miejsce w swym pobliżu, a potem mianuje Go Inspektorem Armii. A kiedy 12 maja 1935 roku nadeszła chwila, że twórca Czynu i Odnowiciel Polski zrzucił z utrudzonych wielce ramion ciężar odpowiedzialności za losy Państwa, Naród uznał w gen. Śmigłym-Rydzu Jego prawego następcę.

Postać gen. Śmigłego-Rydza tak skromna i pełna przedziwnej, żołnierskiej prostoty, stała się dla społeczeństwa polskiego niewzruszonym autorytetem, silną ostoją moralną. Jako wyraz swej głębokiej czci i przywiązania ofiarował Mu Naród w listopadzie 1936 roku to, co miał najdroższego — b u ł a w ę m a r s z a ł k o w s k ą.

I znowu ufnie patrzymy w przyszłość naszego Narodu i Państwa, powtarzając za Marszałkiem Śmigłym-Rydzem słowa pełne rycerskiego animuszu i młodzieńczej buty: „Nic od nikogo nie chcemy, ale też i swojego nawet guzika nie damy".

Dziś w dniu Jego Imienin przyrzekamy naszemu Marszałkowi, że zgodnie z Jego życzeniem zogniskujemy wszystkie nasze myśli i wytężymy wszystkie siły w jednym kierunku: „aby Polskę podciągnąć wyżej!".

Jot-O.

Wódz.

Wyrosłeś na świeżych Ojczyzny ruinach,
Na polach strasznie kulami zoranych,
Wśród mogił ojców tak gęsto zasianych
Po bohaterskich — heroicznych czynach.

Karty historii splamiły rozbiory
I Orła Białego okuły w kajdany;
Kartyś oczyścił, a Orzeł świetlany
Leci w przez Ciebie wyznaczone tory.

Myśl ma podąża syberyjskim szlakiem
I wraca potem na szlaki legionów —
Jak dumny każdy, kto zwie się Polakiem!

Jak wielki naród, co takich miał synów! —
I z czcią głęboką kończę to dumanie
Wielki Marszałku — szczęśliwy Hetmanie!

Mróz Tadeusz VIII a.

Okruchy wielkanocne.

Ludzie starsi lubią czasem opowiadać o przeszłości, o tym, jak to było dawniej. Narzekają na teraźniejszość, że czasy się zmieniły, gdy oni byli młodymi, życie płynęło jakoś inaczej, było bujniejsze i weselsze.

Z tego, co o przeszłości możemy się dowiedzieć w literaturze, widać, że młodzież w okresie wielkanocnym miała wiele zajęcia, również i starsi, a zwłaszcza mamy ukręciły się niemało. Młodzież szkolna grywała w Wielkim tygodniu tzw. „Misteria".

Były to pobożne dialogi, których treść wzięta była z życia Chrystusa Pana, Jego Męki i Zmartwychwstania. Szczególnym uznaniem cieszyły się te widowiska religijne w w. 16, 17 i w początkach w. 18. Później zanikły. Oto próbka z „Historii o Zmartwychwstaniu Pańskim", grywanego przez żaków za czasów Zygmunta Augusta.

Prolog:

„Ile rozkoszy ziemia w sobie miała,
Zmartwychstałego kiedy oglądała
Stwórcę swojego; wszystkim udzieliła
Sama w niebiosy tak się weseliła.
Jakoby znowu stworzona w tym czasie
Inszą naturę przyoblekła na się
I jakoż człowiek nie ma być wesoły,
Pojrzawszy w ziemię przyodzianą zioły?
Z podania ojców starych i nauki
Będziem wyprawiać świątobliwe sztuki,
Spokojnie proszę tylko wysłuchajcie

I zdrowem okiem na ten akt patrzajcie.
Będzie muzyka i piękne śpiewanie
A ty dopomóc racz Wszechmocny Panie!"

Gdy tak młodzież „wyprawiała świątobliwe sztuki" mamy głowiły się nad mniej „świątobliwymi" rzeczami. Piekły góry rozmaitych przysmaków, a w kuchniach panował niemały ruch:

... „rżną w kuchni prosięta
Wół wisi, wieprze kolą, zwierzyny i szynki,
Bo się nam przez siedem niedziel naprzykrzył post długi
W nowe szaty stroimy i siebie i sługi".
(*W. Potocki: „Ogród fraszek"*.)

Nic też dziwnego, że po takich przygotowaniach różne kołacze i mięsiwa oczekiwały „wody święconej", a w „Wielkanocną niedzielę, wygnawszy śledzie,

Mięsiwem wyścielamy boki przy obiedzie,
Nie warzy ani kucharz wieczerzy dopieka,
Bigosy zimne daje, sałaty i mleka".
(*W. Potocki: „Ogród fraszek"*).

Tak było dawniej, dzisiaj o „Misteriach" zapomniano, mamy o wiele mniej pieką, ale „wołów i wieprzy" jest więcej i żyją w większym spokoju.

„Jeden"
kl. II. m. Gimn. Kupieckie w Jaśle.

Niech wśród młodzieży nie braknie nikogo, który by nie kupił każdego numeru naszego czasopisma.

Wszystkim Naszym Czytelnikom i Sympatykom
„Wesołego Alleluja"
życzy
Redakcja.

Flirt z Melpomeną.

Wywiad z dyrektorką teatru Pokucko-Podolskiego p. Zuzanną Łozińską.

Naturalnie uderzyły nas zapachy najróżniejszych pudrów, szminek i mastyksu. Przy akompaniamencie wiecznie trzeszczących schodów i huczącego gazu przedstawiamy się niezwykle sympatycznej p. dyr. Łozińskiej. Nieco stremowany próbuję postawić nieśmiało pytanie — pytanie laika, zabierającego się do takiego dzieła, jakim był dla mnie ten pierwszy interwiew:

Cóż sprowadza Państwo z tak daleka do nas?

Przede wszystkim — odpowiada nadzwyczaj miła interlokutorka — idea szerzenia kultury teatralnej na poziomie nawskróś artystycznym, która mogłaby dać publiczności prowincjonalnej prawdziwe poczucie piękna i smaku estetycznego, tak nadwyrężonego przez brak stałego teatru. Dlatego więc wybrałam sztuki o charakterze klasycznym, specjalnie przeznaczone dla młodzieży. Mam tu na myśli utwory Fredry, Zabłockiego, Słowackiego, Korzeniowskiego, a z zagranicznych Szekspira, Moliera, Corneille'a i in. Praca nasza na terenie jasielskim datuje się zaledwie od trzech miesięcy, a już cieszymy się coraz to większą popularnością tak wśród młodzieży, jak wśród starszej generacji.

Trudności jakie napotyka zespół w swej pracy na niwie teatralnej określa p. dyrektorka w ten sposób:

Podobnie jak każdy nieznany dotąd teatr przechodziliśmy okres przesilenia, z którego jednak wyszliśmy zwycięsko. Na przeszkodzie stała głównie nazwa teatru, stwarzająca mu opinię jakiejś trupy wędrownej huculskiej (!) liczącej li tylko na dochód. Bezpodstawność tej obawy wykazały najlepiej ostatnie nasze występy, przyjęte ze szczerym entuzjazmem całej publiczności. Poza tym bodaj czy nie największą trudnością to –– przysłowiowe „koczownicze życie aktorskie", spędzane bądź to w wozach kolejowych, bądź to w nieopalonych garderobach i salach prowincjonalnych teatrów (naturalnie nie jest tu mowa o Jaśle).

Teraz z kolei indaguje kolega:

Jakie rozróżnia Pani typy publiczności, jeśli chodzi o młodzież?

Nastawienie młodzieży jest zawsze dodatnie. Jeśli jest grana komedia, wszyscy wybuchają spontanicznym śmiechem i gorąco oklaskują zabawne momenty, natomiast podczas dramatu wszyscy ze skupieniem wczuwają się w akcję, toczącą się na scenie. Młodzież wogóle jest przez nas wzięta. Szczególnie cieszy nas serdeczność publiczności, wyrażającej się o naszym zespole jako o „swoim teatrze". Jest to bardzo miłe dla nas.

Teraz mała prośba do dyrekcji zakładu.

Ponieważ niektóre sztuki wymagają szerszego objaśnienia, zwracam się tą drogą do p. dyrektora, aby każda rzecz była poprzedzona prelekcją, a to ze względu na to, że uszminkowany aktor, który wygłaszałby tę prelekcję, mógłby wpłynąć na obniżenie wrażenia gry.

Na pytanie zaś nasze **o planach na przyszłość** p. dyrektorka uprzejmie wyjaśnia, że przede wszystkim w roku przyszłym będzie zmieniona nazwa teatru, która dotychczas była „ad hoc" skompanowaną. Cały teatr składa się z trzech sekcji. Podczas gdy jedna wędruje po Małopolsce zachodniej, druga pracuje we wschodniej, a trzecia przebywa w Stanisławowie. W miesiącu następnym, gdzieś około 9-go kwietnia, przyjeżdża druga sekcja ze sztuką Fredry, której tytuł zostanie później ustalony. Wszystkie przedstawienia popołudniowe są zatwierdzone przez Kuratorium, a niezłą by było rzeczą, gdyby dyrekcja dała wytyczne co do sztuk mających ściślejszy związek z lekturą szkolną. Na tym zakończyliśmy naszą ogromnie interesującą rozmowę z przekonaniem, że fach dziennikarski nie jest rzeczą tak straszną, jak się z początku przedstawiał. Po zapoznaniu się z całą trupą obładowani wrażeniami i autografami pożegnaliśmy sympatyczny zespół, przygotowujący się do wieczornego przedstawienia.

Red. Adam Roliński.
Karol Michałek.

CZYTAJCIE
i ROZPOWSZECHNIAJCIE
WŁASNE CZASOPISMO!



Sen o wiośnie.

Cicho, powoli i tak monotonnie
Płatek za płatkiem wciąż spada,
Ziemia już biała, a hen z dali do mnie
Tęsknota w głąb serca się wkrada.
I jakoś dziwnie me myśli zwycięża
I śnić mi tylko o przyszłości każe,
Że, chociaż znowu myśl nową naprężam,
Tęsknota wraca, dalej śnię i marzę.
I ciągle widzę bliskie już przedwiośnie,
Bo pod tym płaszczem utkanym gwiazdkami
Maj nowy — zielony maj rośnie,
Jakże się cieszę o tej wiośnie snami.

Mróz Tadeusz VIII a.

W stulecie „Anhellego".

1837—1937.

Ognista kula chyliła się ku zachodowi. Ostatnie promienie słońca wdarły się do zakonnej celi i krwawym refleksem spoczęły na postaci siedzącej za stołem, zaścielonym rękopisami, pochylonej jakby pod brzemieniem ostatnich wypadków — na postaci naszego wieszcza Juliusza Słowackiego. Równe sto lat temu....

Nie mogąc brać czynnego udziału w powstaniu, nie nadając się do działalności po-

litycznej, Słowacki cierpiał bardzo, ale jeszcze bardziej bolała go obojętność czytelników i zgryźliwość krytyków. Twórczość jego nie była zrozumiana ani odczuta. Wypadało mu zrezygnować z najwznioślejszych marzeń i najskrytszych projektów, jednak nie były to rzeczy łatwe. W tym stanie depresji w sukurs przyszedł mu oddany przyjaciel Zygmunt Krasiński, jak również ważną rolę odegrały przeżycia religijne na Wschodzie. Można powiedzieć, że jak Krasiński podniósł Słowackiego na duszy, tak podróż wschodnia dopełniła reszty, stanowiąc niejako przełom w życiu duchowym poety. Dlatego jasnym jest, że Słowacki szukając zapomnienia w goryczy zawodu nie znalazł go ani w Paryżu, ani w Londynie, ani nawet w cudownej Szwajcarii, lecz znalazł w ciszy klasztornej.

Szczególnie nie bez wpływu na drażniące go kwestie pozostały wzmagania religijne i pamiętna noc u grobu Chrystusa. Przygnieciony tymi przeżyciami odbył spowiedź z całego życia w klasztorze w Betcheszban i tutaj rozpoczął pracę nad „Anhellim", który miał być ekspiacją za czyny płomiennego i porywczego Kordiana.

Tutaj w klasztorze Maronitów pod świeżym wpływem wrażeń religijnych, w podniosłym skupieniu ducha, idea „świadomego złożenia Bogu własnych cierpień dla odkupienia tą ofiarą szczęścia ojczyzny" skrystalizowała się i dojrzała. Zaczął on odczuwać coraz wyraźniej, że Bóg przyjmie te cierpienia i rzuci je na szalę przyszłości narodu. — Anhelli — to do pewnego stopnia sam Słowacki (w okresie dzieciństwa nazywano poetę „Heli") wyidealizowany reprezentant i symbol narodu. Szaman zaś to wcielenie „instynktu moralnego i rozumu samozachowawczego ówczesnego pokolenia". Poemat ten artystyczną wartością, marzycielskim smutkiem, nastrojowością obrazów i przecudnym biblijnym stylem predestynuje do rzędu arcydzieł literatury polskiej.

Mimo że utwór ten był najściślej zespolony z prądami tej wieszczej, bolejącej poezji narodowej, które po roku 1831 nabierały coraz większego u nas znaczenia, to może żaden z utworów Słowackiego nie wywołał tyle sprzecznych sądów krytyki, co właśnie „Anhelli". Współczesna mu krytyka widziała w „Anhellim" albo „bijący urok stylu, przy niewyraźnym zarysowaniu idei", albo „brak wątku i jasności, sferę nadnaturalną, osoby cudowne i niepojęte wtedy, kiedy prawda tak dostateczna być mogła". Z pomiędzy niewielu, zachwycających się wtedy „Anhellim", Krasiński pisał, że: „nie znam nic smętniejszego, nic poetyczniej pomyślanego i wykonanego" a postać Anhellego nazwał „doskonałym symbolem poetycznym naszego pokolenia". Na wieść o śmierci pisał do przyjaciół zajmujących się jego pogrzebem: „Połóżcie mu napis — autorowi Anhellego — a ten jeden wystarczy mu dla zapewnienia sławy na pokolenia przyszłe.

Dzisiejsza krytyka inaczej już się zapatruje na „Anhellego" i chociaż jeszcze niektórzy starsi krytycy widzieli w nim „zamiar piękny i mądry, ale konkluzję, jeżeli nawet nie fałszywą to szkodliwą", lub „marnienie najczystszych i najlepszych w narodzie w bezczynnym smutku" — to jednak większość stawia „Anhellego" nie tylko w rzędzie najpiękniejszych i najgłębszych utworów literatury polskiej, ale nawet zalicza między najwartościowsze arcydzieła literatury światowej.

Zet-Ka VIII.

Miejsce rodzinne.

Gdzie szczyty górskie do nieba sięgają,
A srebrny potok huczy po kamieniach,
Tam myśli moje stęsknione wracają,
A obraz wspomnień snuje się w marzeniach,

Gdzie echo górskie głos ludzki powtarza
I tysiącami rozbrzmiewa odgłosów,
Gdzie woń sosnowa płynie jak z ołtarza —
Hen, hen tam w górę na krańce niebiosów.

Tam, w tym zakątku w górzystej ustroni
Matka w kolebce dziecię kołysała,
Jeszcze melodia piosenki mi dzwoni,
Która dziecinę małą usypiała.

Góry bieleją szczytami śnieżnymi
I strumyk toczy huczne wody swoje,
Lecz droga matka już spoczywa w ziemi
Łzy wcześnie spadły na dzieciństwo moje,

Krystyna Wojnarowicz kl VIII.

Rozrywki umysłowe.

	nik	ludz	la	ci	
koś	tuj	ty	nij	ca	ro
nad	do	prze	og	wy	doś
a	ci	z koń	mło	my	słoń
ca	po	koń	kiem	łe	my
	o	ca	zio	ca	

Ruchem konika szachowego odczytajcie czterowiersz.

Kr. M. VIIb.

Humoreska.

KARTKI Z PAMIĘTNIKA PEWNEGO STUDENCIKA.

Są dziwy na niebie i ziemi, o których się nawet nie śniło waszym filozofom.

O siódmej zrobiłem *wschód* nie słońca tylko siebie samego. Ale trzeba mieć pecha! Wstałem lewą nogą. Myślę: nie będzie dobrze, jak się tak zaczyna. Zacząłem się ubierać. Jedno..... a właściwie *dwucześnie* powtarzałem zadany wiersz mistrza Słowa — ckiego. „Smutno mi Boże". Rzeczywiście smutne mi było, bo skonstatowałem, że *marynarka* nie wojenna tylko studencka zapina się na plecach i reszta garderoby też. Złe wnioski zacząłem wysnuwać z tego kłębka, choć go nie było i doszedłem lekkim truchcikiem po nici do kłębka, że jest źle. Rzeczywiście trzynastego, piątek, lewa noga, marynarka i t. d... a ja jestem *zabobonny, za zabobonny,* a może nawet *za, za, za, zabobonny,* jakby rzekł mój kolega z lekkim defektem w mowie... wyborczej. Zabobonność to już rodzinna. W piątek mamy straszne, bite... *pałkami,* kute... *młota-tami na kowadle,* lane... *jak żelazo* i oblewane... *zmotopompami* godziny. Łacina, polskie, niemieckie, mantyka i fizyka, ciągną się jak... *klej stolarski. „Trzymaj się ciepło"* rzekłem do siebie, jak kucharka nalewająca herbatę do termosu.

Zjadłem śniadanie, rzuciłem książeczki (żeby tak P. K. O.) do teczki i pobiegłem do szkoły na skrzydłach... a właściwie tylko pobiegłem. Pędziłem, jak tajny gorzelnik samogon, chcąc pobić i tak wyśrubowane na ostatnie gwinty rekordy Ovensa na 100 i Lovelocka na 1500 metrów, gdyż tyle właśnie wynosiła moja droga, bynajmniej nie *droga* do szkoły.

Właśnie otwierałem bramę *przybytku oświetlenia publicznego,* gdy zabrzmiał e-Lebet-*ryczny* dzwonek. „Kiedy napiszę niemieckie?" Myślę sobie *w sobie.* Zajęcia *jęły się zajmować* (same, bez komornika)..... właściwie *potoczyły się* zwykłym torem..... *wyścigowym.* Na pierwszy ogień.... *słomiany* poszła łacina. Poco był ten *cały* (może tylko pół) Wergili. Zresztą my go dobrze znamy, bo gdy profesor kazał przedstawić (nie się, bo go dobrze zna) Leskiemu życiorys poety, ten pociągnął: „Ojciec Wergiliusz uczył dzieci swoje" i td. Gdy zaś mnie *„zarwał"* (nie na forsę) pytając, co to jest *amor,* odparłem ten słaby zresztą cios, że to jest mój jamniczek. Łacina przeszła stopa za *płaską* stopą.

Polskie przeszło, jak *się* po Trzecim Maju, szybko. Nie byłem pytany. Na pauzie *szkrabnąłem* „aufgabe". Niemieckie *przebiegło* stylem fińskim, *rozmiękłą bieżnię* naszych mózgów i nadeszła *matematyka.* Profesor *za i podpisał się* i nie w dzienniku i *włożywszy* do kieszeni ręce, *chodził po klasie żywo gestykulując.* Później wywołał do tablicy *szarej,* jak los szarego człowieka Abecedowskiego, Bedeckiego, Cedowskiego, Deckiego i mnie. Stanęliśmy wszyscy pod rząd... *angielski. „Nie jestem w ciemię bity"* — myślę sobie jak wół zabijany rytualnie „nie dam się zagiąć". Jednak zagiąłem i *się* i *bie.*

Na fizyce znów *zryłem* jak ogrodnik grządkę. Profesor kazał mi napisać symbol chemiczny sodu, więc nie wiele myśląc napisałem S_2 U_4 T_4, a helu H_1 El_2 według mnie było całkiem dobrze. Profesor *uprzejmie* pożegnał mnie i kazał zająć miejsce. Czekałem tylko dzwonka.

Wynik dzisiejszego spotkania 3 : 0 na nie moją korzyść. Wszystko przez tę lewą nogę,

szkoda, że człowiek nie ma dwu prawych. Do domu biegłem na skrzydłach... *żołądka.* Obiad mi bardzo smakował, po tej męczącej grze... *na nerwach.* Wyławiając zaś z rosołu włos, rzekłem do kucharki: *„Dziś moja porcja jest o włos większa“.*

Jeżeli chodzi o cały dzień, to przepłynął z szybkością 5-ciu *zawiązanych na kokardkę* węzłów na godzinę.

Brzetysław.

Odpowiedź na artykuł „POMOC NAUKOWA PRZYJACIELEM MŁODZIEŻY"!

Pozory rzeczywiście mylą! Ta myśl owładnęła mną niepodzielnie po przeczytaniu artykułu: „Pomoc naukowa przyjacielem młodzieży" z poprzedniego numeru naszego pisma. Zarazem przyszło mi do głowy wspomniane tam przysłowie: „Nie wszystko złoto, co się świeci" — w tym artykule bowiem tytuł świecił, jak 14-to karatowe złoto, ale — tylko tytuł! Treść natomiast w wielu miejscach błagała na kolanach o interwencję!

Zdobyłem się na tyle cierpliwości, że przeczytałem artykuł do końca (w myśl wskazań anonimowego autora). A propos anonimu: zupełnie słusznie i nadzwyczaj roztropnie postąpił autor, że pod swą pracą nie umieścił nazwiska. Naraziłby się bowiem niewątpliwie na „własnoręczną pogawędkę" z oburzonymi **prawdziwymi** celerami, którzy, mimo wszystko, jeszcze się na świecie, acz w niskim procencie, znajdują.

Przejdę jednakże „in medias res“. Chciałbym przy sposobności zwrócić autorowi uwagę, że najpierw się jest na wojnie, a później zdaje „Kriegsmaturę", nigdy zaś odwrotnie. (Nie znaczy to, żeby po zdobyciu tej „matury wojennej" nie można dalej służyć w wojsku i walczyć). Ale to jeszcze „detal"! Chodzi bowiem o owe „pomoce naukowe" czyli bryki, będące zdaniem autora, „prawdziwymi przyjaciółmi" każdego ucznia. Ośmielam się jednak mniemać, że nie każdego. Są bowiem uczniowie (jest wprawdzie, jak się już rzekło, bardzo niewielu, ale niemniej są), którzy bryka znają tylko ze słyszenia. Natomiast godzę się w zupełności ze zdaniem, że tzw. celerzy bryków używają. Ale tylko **tzw.** celerzy! (Podkreślam słowa: „tak zwani").

Wnioskuję z artykułu, że autor dlatego tak apoteozuje bryki, że sam nie należy do pogardzanej ogólnie kasty celerów. Gdyby było inaczej, na pewno by nie robił w ich kierunku „osobistych wycieczek".

Prawdopodobnie jednakże nie jest w swych wywodach gołosłownym i zna wielu celerów, korzystających z wydawnictw Zuckerkandla. Ale powtarzam, to są tylko **tzw.** celerzy!

Rzeczywisty celer obchodzi się bez gotowego tłumaczenia, rozumiejąc, że tylko samodzielna praca prowadzi do skutków. Oczywiście, aby samodzielnie przetłumaczyć jakiś „kawałek" łaciński, trzeba znać „najprostsze formy, nie nasuwające żadnych wątpliwości" (dosłownie przytaczam).

W tym celu radzę wziąć do ręki „Gramatykę łacińską", np. Auerbacha i Dąbrowskiego. Odda ona każdemu (nie wyłączając autora owego artykułu) nieocenione usługi. Kończę już jednakże tę apologię celerów, a obawiając się zemsty nie-celerów, kreślę się pseudonimem.

Languidus VIII a. g. m.

F. Zabłocki.

„Fircyk w zalotach"

(Występ Teatru Podolsko-Pokuckiego w Jaśle).

Po raz trzeci w bieżącym sezonie wystąpił w Jaśle chlubnie znany w całej Polsce Teatr Podolsko-Pokucki.

Dzięki wytrawnemu kierownictwu p. Dyr. Łozińskiej i znakomitemu zgraniu całego zespołu wszystkie spektakle cieszą się gorącym aplauzem ogółu publiczności. Najlepszym dowodem tego było odegranie przed paru dniami znakomitej komedii F. Zabłockiego „Fircyk w zalotach", przyjętej z dużym zadowoleniem ze strony młodzieży naszego miasta.

Zaznaczyć jednak należy, że zarząd Teatru natrafił na znaczne trudności, przeważnie technicznej natury, gdyż scena nasza nie posiada właściwych urządzeń, które by umożliwiły szybką zmianę dekoracji, a przez to samo uprościły pracę całego personelu.

Posłużono się więc pomysłowymi, przenośnymi dekoracjami i kulisami, przedstawiającymi wnętrze zwyczajnego, bezstylowego pokoju, który również zupełnie dobrze spełnił swą rolę w wieczornym przedstawieniu nowoczesnej sztuki „Miłość i abdykacja", jako mieszkanie angielskich snobów.

Co do naszej gry, to należy wyróżnić świetną parę artystów, prawdziwie wczuwających się w swe role, a to p. Łozińską — Podstolinę i jej partnera p. Dziekońskiego (Fircyk), znakomity typ zblazowanego dandysa z czasów „króla Stasia".

Poza tym całą akcję ożywiała wielce sympatyczna sylwetka reż. Bielicza — Arysta, który swą zupełnie naturalną, niewymuszoną naiwnością i iście molierowskim humorem oraz mimiką i gestykulacją budził huraganowy śmiech i burzę oklasków na sali.

Reszta również zupełnie dobra.

Występy Teatru Podolsko-Pokuckiego wzbudziły w Jaśle zrozumiałe zainteresowanie i dlatego można się spodziewać, że cała młodzież będzie usilnie dążyć do popierania tej tak pięknej i godziwej akcji na terenie prowincjonalnych miast Małopolski.

K. M.

Odpowiedzi redakcji.

Krystyna Wojnarowicz VIII: Spóźnione. Na ten sam temat otrzymaliśmy wcześniej artykuł.

Krystyna Jarnuszkiewicz VII: Może skorzystamy.

Te-Her: Nie skorzystamy.

W. K. VII: Jeszcze trzeba dużo pracy, aby wiersze stały na „granitowym" poziomie.

Hipci O: Całą rzecz należy gruntownie przerobić, aby nadawała się do druku.

„Gentleman": Nie skorzystamy.



KALAMBZDURKI.

Wilkiem mu z oczu patrzy! myślał dog o wilczurze.

Szkoda gadać! rzekł mowca, którego słuchacze wygwizdali.

Spełznie na niczym! myślał zaskroniec o pełzającej żmii.

Mam je w nosie! złościłem się na zarazki grypy.

Bodaj bym uschła! zaklinała się maca.

Alem wsiąkł! rzekł atrament, który wysuszyła bibuła.

Jestem przyciśnięty do muru! trapił się drąg podpierający ścianę.

Alem zrył! cieszył się ogrodnik oglądając swoją pracę.

Nasypali piasku! myślał deptak wysypany żwirem.

Ale mnie urządzili! myślał o sobie bal reprezentacyjny.

Brzetysław.

Ja wam dam szkołę! rzekł minister oświaty do mieszkańców cichej wioski poleskiej.

Keluj.

Lebet wohl! rzekł tercjan do kolegów.

FELIETON.

Tango... epileptyczne.

Zazwyczaj jestem usposobienia łagodnego i bardzo trudno jest mnie wyprowadzić z równowagi, ale niech tylko kto niebacznie przy mnie wspomni o tańcach, wpadam w ponury nastrój. Winne jest temu owo nieszczęsne epileptyczne tango, oraz taniec, a raczej podrygi, które są wiernym odzwierciedleniem galopu strusia. Trzeba się jednak cofnąć nieco, aby czytelnicy wszystko dobrze zrozumieli.

Na tańce idę z Jasiem, z którym uprzednio odbyłem rendez-vous na Trzecim Maju. Trzeba jednak wiedzieć, że jest to pierwsza lekcja wspólna z panienkami.

Dochodzimy do „Zgody" i parę kroków — jesteśmy w garderobie. Od razu wyczuwam jakiś dziwny nastrój panujący między kolegami. Albo jeden „liże" swoje włosy, które uparcie stoją mu jeżem, albo drugi tańczy, a raczej znęca się nad tangiem, ale tak na twarzach jednych jak i drugich widać podniecenie, wyrażane w jakichś nieartykułowanych dźwiękach, gestykulacji, przypominającej mi żywo ruchy orangutana.

Zaczął się już robić złowrogi (!) nastrój, gdy wtem wchodzi profesor tańców i anonsuje: Panowie słuszniejsi, proszę iść do przodu i gęsiego na salę. Ozwały się bełkotliwe słowa, falanga uformowała się jako tako pochód wszedł na salę. Jak zwykle, nie obeszło się bez domowej opieki, więc w tę stronę zdążamy. Tu pochód rozwiązuje się, a wszystko gromadzi się w kącie, lękliwie spoglądając w stronę panienek. Tym czasem mistrz bierze po dwóch z naszej gromady i przedstawia ich panienkom. Pierwsi prezentowali się Adam „Championek" oraz dziwaczne monstrum, przeraźliwie długie, którego fizjognomia nie dawałaby zjeść spokojnie obiadu. Po rozmaitych formułkach grzecznościowych przyszła kolej na tańce wspólne.

Panowie angażować panienki! — zagrzmiał głos mistrza.

Zaczyna się ruch, zadzierżyste blaski w oczach znikają, a z gromady, co odważniejsi „lalusie z morskiej pianki", idą sobie „szukać ofiary". Na to i ja dźwignąłem się i wszyscy „walimy szykiem bojowym", który się zaraz rozsypał w tyralierę. Lokatorzy poznańskiego Zoo byliby mile zdziwieni, gdyby widzieli, że ich ogląda towarzyska została przyjęta przez moich towarzyszy „niedoli".

Rzucam okiem w stronę J. Nieszczęsny ten człowiek widocznie po raz pierwszy angażuje do tańca. Z ukłonu jego mogą być dumne co najmniej strusie. Miałem już ochotę parsknąć, ale wpadł mi u Józia podejrzany ruch prawą ręką.

Taż to nastąpi zaraz swing w skroń! — odzywam się fachowo do Jasia.

Och, nieustająca ciemnoto, nie widzisz, że on tylko łokieć wysunął — odpowiada dyplomatycznie Jaś.

Rzeczywiście! Ale cóż to będzie za taniec?

Nie wiem, zresztą się zaraz przekonasz.

Mówi się na to trudno. Wybrałem sobie wzrokiem przystojną panienkę i podążyłem w jej stronę, nucąc pod nosem zasłyszany gdzieś refren. I o dziwo!! Piosenka podziałała deprymująco na grupkę gości idących ze mną, bo błyskawicznie się ulotnili, zostawiając mi wolne miejsce.

Bez przeszkód już zaangażowałem panienkę i przyłączyłem się do korowodu par. Spacerując ze swoją partnerką, usłyszałem nagle przed sobą dziwaczne dudnienie: to J. improwizował rozmowę „cum sua puella".

Wkrótce rozpoczął się taniec mazura, albo raczej wyrafinowane tortury, zadawane mazurowi.

Na komendę raz, dwa, trzy — cztery, cały orszak podskakiwał konwulsyjnie kilka razy w przód, następnie w tył i znowu w przód i tak aż do siódmych boleści. Nie trzeba chyba dodawać, że przy skakaniu w tył działy się dantejskie sceny; ktoś tak szpetnie upadł, że tylko podłoga jęknęła.

Wreszcie taniec, względnie połamaniec, skończył się, rozległy się westchnienia ulgi i „jest dobrze".

To, co nastąpiło potem, to było już nic: zwyczajna nauka jednostronna, t. j. jedna strona siedziała, a druga uczyła się. Ponadto nie zaszło nic godniejszego uwagi.

Po lekcji poszliśmy do domu.

Rozmowa nie kleiła się, bo przez cały czas drogi wymieniliśmy zaledwie parę słów.

Ostatecznie wyczerpany fizycznie i umysłowo przyszedłem do domu i padłem jak kłoda na łóżko.

— — — — — — — — — — —

Prosto z nart „pogalopowałem" na tańce. Nie miałem czasu na gruntowny remont mojej osoby, więc poszedłem w „besztaj-gerach", „niewyostrzonych" i o zgrozo bez sztywnego kołnierzyka.

Idąc, rozbrzmiewałem hymnami pochwalnymi na cześć natury. Siarczysty mróz nie robił na mnie żadnego wrażenia, było mi przyjemnie i ciepło, jak nigdy. Delikatny wietrzyk strzepywał śnieg z dachów kamienic, na których piętrzyły się wspaniałe okapy śnieżne, puszyste i przejrzyste jak mgła.

Z każdego własnego poślizgnięcia bawiłem się i stroiłem żarty (!) to, tańcząc niewidocznie pierwszą figurę tanga, lub drepcząc foxtrota, i t. d. Potężne zwały śniegu z boku ulicy wydawały mi się udogodnieniem, bo myślałem sobie — nuż jaki gość kopyrtnie się solidnie, to przecież owe zwały śnieżne go zatrzymają.

Czarowne to moje usposobienie nie prysło nawet w garderobie. Znowu to ustawiczne czesanie się, jakiś śmiejąco-płaczący bełkot, uśmiechy, etc. Wreszcie weszliśmy na salę i po ukłonach z miejsca zaangażowaliśmy panienki do tanga. I miałbym bezczelność nazwać „to" tangiem?

Mój Boże! I słyszałem kiedyś prawo fizyczne: „dwa ciała nie mogą znajdować się w jednym i tym samym miejscu". To bujda na resorach!!! Tutaj tańczyło 40 par na jednym miejscu!

Zaledwie zacząłem pierwszą figurę, otrzymałem szpetny cios czyimś łokciem w plecy. Zrobiłem zwrot, ale i tu czyjaś ręka dała mi „kuksańca" (podejrzewam o to Tadka!!) Teraz w moim mózgu zaczęły kotłować ponure myśli, przypomniała mi się nagle scena z „Jasełek", kończona tymi słowy: ... „chodźmy stąd, bo trwoga, a dla Boga zbudźmy i innych".

Błyskawicznie się opamiętałem i tańczyłem dalej. Nastąpiły znowu niezliczone kataklizmy z innymi parami — i tango skończyło się. Teraz poszła nas zluzować „druga szychta", która nie tańczyła. Zatoczyłem się w stronę krzesła i nareszcie po wielu ekwilibrystycznych wyczynach usiadłem.

No, teraz mam sposobność skrytykować poszczególnych tancerzy, szepnąłem z dziką radością. (?)

Tańczył jakiś krępy osobnik, widocznie nie znoszący sprzeciwu, bo gdy tancerka szła krokiem w lewo, ów bez krępacji ciągnął ją w prawo; obroty zaś wykonywał, jak na szpilkach.

Nieszczęsny Tadek uchwycił tancerkę niczem zapaśnik i nie mógł trzeciej figury wykonać. Staszek, którego taniec nazwałbym d(r)eptakiem, trzymał tan-cerkę od siebie „na dystans", co wyglądało groteskowo. Jakiś gość, zapewne nie mogąc wbić sobie do głowy wszystkich figur, liczył na głos. Uosobieniem rozpaczy określiłem Romka, którego twarz miała coś w sobie niesamowitego.

Szczytem wszystkiego było jednak tango Maksia. Odtańczył on swój dziwaczny taniec, powiedziałbym z pewnym namaszczeniem, również jak Staszek — „na dystans". Esowata jego figura wyczyniała jakieś groźne a nieuchronne obroty, chodzenie zaś wykonywał, jakby kij połknął.

Wreszcie obustronne westchnienia ulgi czy niezadowolenia i tango skończyło się, a z nim — tańce.

Do domu szliśmy jako dość pokaźna grupka. Rozmowa toczyła się, rzecz prosta, o tańcach.

I co mi z tego przyszło — odezwałem się — veni, vidi et „buli" owe 4 zet-eł... Nagle rozmowę moją zagłuszył śpiew jednego z towarzyszy niedoli, widocznie jasełkowicza: „I rzekł Pan: Położę nieprzyjaźń między tobą a niewiaaastą!

Ona zeetrze głoowę twoją — zaryczał. Miałem dość tych śpiewów, więc zwiałem precz od nich. Było mi paskudnie zimno, a mróz szczypał mnie niemożliwie po policzkach. Ostry wicher otrzepywał tumany śniegu z okapów na kamienicy, które lądowały na mojej głowie, pogrążając mnie w krańcowym pesymiźmie. Mój Boże, rozmyślałem, niech tylko taki ciężki okap śnieżny spadnie komu na mózg, to jest gotowy! Na domiar złego zacząłem się ślizgać. Z dziwacznymi podrygami, naśladującymi foxtrota zbliżyłem się do zwałów śniegu, leżącego przy ulicy i stanąłem. Nagle noga błyskawicznie mi ujechała i nim zdążyłem się zorientować, dałem „nura" w śnieg.

— — — — — — — — — —

Przykatulałem się do domu pełny wrażeń. Ponieważ nerwy zaczęły mi odmawiać posłuszeństwa, więc szybko rozebrałem się i „bęc" do łóżka.

Kazimierz Hefka, 7 b.

Nakładem Komitetu Redakcyjnego Państwowego Gimnazjum w Jaśle.
Redaktor odpowiedzialny: Dr. Majcherek Ludwik, Jasło, Państw. Gimn. — Drukarnia St. Kuźniarskiego.